

Leszek Mądzik wychodzi z mroku

Teatr mroku, śmierci, bezsłownej prawdy – tak się zwykle mówi o Scenie Plastycznej KUL Leszka Mądzika, która w tym roku świętuje 35-lecie działalności. Ale w „Bruździe” Mądzik w ogóle zrezygnował z mroku. Więcej – po raz pierwszy wystąpił jako główny aktor przedstawienia

Scena Plastyczna KUL:
„Bruźda”;
12 listopada w kościele św. Anny
w Kazimierzu Dolnym

Grzegorz Józefczuk

Na pokaz „Bruźdy” Leszek Mądzik wybrał niewielki kościół św. Anny w Kazimierzu Dolnym, bo z inicjatywy poboższa Tomasz Lewniewskiego świątynia ta staje się powoli rodzajem centrum współczesnej sztuki sakralnej. Kościół idealnie odpowiada koncepcji spektaklu, akcja toczy się bowiem na osi od drzwi do ołtarza i tak też jest zorientowana scenografia. Tworzą ją tylko cztery ekrany z papieru, pod którymi znajduje się otwarty tunel z wodą prowadzący do ołtarza zagrodzonego panwanem. Publiczność siedzi po bokach.

Jest południe, więc wszystko dzieje się przy naturalnym świetle, bez skrycia w tak charakterystycznej dla Sceny Plastycznej magicznej grze ciemnością i prześwitami, jakby wewnątrz kościoła już tego nie potrzebowało.

Pojawia się sam Leszek Mądzik – jako demiurg świata przedstawionego. Jest w zwykłej marynarce, rozgląda się, podejmuje decyzję. Najpierw z wysiłkiem zwozi na taczkach w jedno miejsce bezkształtne papierowe bryły-kokony i rzuca w nie ziarnem. Z kokonów wychodzą ludzie podobni do manekinów, przebijają ekrany, wstępują na drogę wyznaczoną bruzdą wody i w niej padają. Demiurg obitywa ich głowy, ożywia do dalszej drogi, która prowadzi tą wodną koleiną na zakryty ołtarz. Potem uchyla drzwi świątyni. Wchodzi mała dziewczynka w białej sukni i powoli idzie za postaciami, które są już „po drugiej stronie”.

„Bruźda” zaskakuje administratorów twórczości Mądzika, bo w tym spektaklu odarł on swój teatr z niezwyklej tajemniczości, wieloznaczności sensualnej

i intelektualnej, ujawnił jego szkielet fizyczny, a ten jest zadziwiająco prosty. Co więcej, takie obrazowanie wzniosłości i upadków życia w drodze od narodzin do śmierci i do Boga może się wydawać równie głębokie, co banalne w formie, sztuczne i przeintelektualizowane.

Czy jednak „Bruźda” to klęska Mądzika, zły kierunek eksperymentów teatralnych? Nie. Dosłowność i fizyczność spektaklu ma swoją własną siłę wymowy, a ta buduje dramatyczne napięcie. Czujemy przecież, że upadek w wodną bruzdę jest dla aktora czymś autentycznym i konkretnie dotkliwym, i może wolelibyśmy tego nie widzieć. Albo też być może odzywa się w nas pamięć o własnych nieszczęściach.



Scena z „Bruźdy”, najnowszego przedstawienia Leszka Mądzika wystawionego w kościele św. Anny w Kazimierzu Dolnym

Leżąc najważniejszego klucza do „Bruźdy” należy szukać gdzie indziej. Jest to opowieść o samym Leszku Mądziku, który boleśnie zmagając się z tematem i formą swego teatru spraw ostatecznych.

Dlatego po raz pierwszy sam sobie wyznaczył rolę – demiurga z taczką w przestrzeni sacrum. W jego 17 autorskich spektaklach, które zrobił przez 35 lat, od „Ecce Homo” po „Odchodzi”, nie ma

jednak konkretnego podmiotu, żywego człowieka. Tymczasem teraz Mądzik chce powiedzieć: czerpię z siebie, robię spektakle o sobie niezależnie od tego, jak mój teatr nazwiecie. ♦

GAZETA WYBORCZA Nr
14 listopada 2005